



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Bogdan Klukowski

Wojna – czas zamknięty

Jestem przekonany, że pamięć małego dziecka jest podobna do pamięci starca. Jest to pamięć wybiórcza, wyrywkowa, zapisująca jakieś pojedyncze zdarzenia, nie układające się w logiczny, linearny ciąg. Różnica jest jednak podstawowa: dziecku przybywa doświadczeń, umiejętności kojarzenia. Pamięć starca staje się coraz bardziej dziurawa, na jej taśmie zapisane są jakieś oderwane fragmenty, czas współczesny miesza się z dzieciństwem i szczęśliwą młodością.

Miałem to szczęście, że gdy się urodziłem na pół roku przed wybuchem wojny, a ojciec w marcu 1939 roku został zmobilizowany, w domu został dziadek, który od zawsze był w mojej rzeczywistości. I tak było przez kilkanaście lat. Nawet wtedy, gdy wrócił ojciec, który ciężko pracował handlując żywcem, czyli jak to się niepoprawnie mówiło – świńmi. Jako dziecko byłem przekonany, że mój dziadek jest wszechmocny. Potrafił bowiem wszystko: naprawić zamek w drzwiach, rozpalić w piecu, zrobić bat, który umiejętnie użyty świślał jak w prawdziwym cyrku. Dziadek miał zawsze pod ręką pachnące jabłka, nawet w najsroźszą zimę. Umiał opowiadać o swoich przygodach w armii carskiej podczas wojny japońskiej, o swojej niewoli w czasie pierwszej wojny światowej. Znał wojskowe komendy po rosyjsku i po niemiecku. Mówił z lekka zaciągając, choć urodził się i całe życie przeżył na Mazowszu. Dla mnie dziadek był przewodnikiem i opiekunem – chronił przed niebezpieczeństwami, których jest zawsze dużo w życiu małego dziecka. Nic dziwnego, że właśnie z nim kojarzy mi się pierwsze wojenne wspomnienie.

Jest lato (potem ustaliłem, że był to czerwiec 1943 roku), na brukowanym podwórku naszej zagrody stoją wkoło mieszkańcy i sąsiedzi. Na środku koła kilku granatowych policjantów bije kilkunastoletniego chłopca, wywleczonego właśnie ze stodoły. Był to młody Żyd z pobliskiego Kałuszyna (przed wojną na 10 tysięcy mieszkańców blisko 7 tysięcy stanowili Żydzi). Chłopak ukrywał się u dziadka, pracując jako pastuch. Liczył na to, że w ten sposób uratuje się przed osadzeniem w getcie, co równało się wówczas śmierci. Treblinka – była to nazwa wymawiana ze zgrozą. Wiadomo było, że stamtąd Żydzi już nie wracali.

Chłopak zasłania twarz i głowę, błaga o litość. Dziadek też prosi, aby go nie bili. Wtedy i on dostaje nahażką kilka razy w głowę. Drugi policjant poprawił mu bykowcem tak, że dziadek upadł na ziemię. Nie wiem jakim cudem udało mu się wreszcie wyprosić łaskę, chociaż tylko dla siebie. Szymka natomiast zabrano do getta, z którego już zapewne nie wyszedł.

Potem zapanował we wsi rok spokoju. Przez ten czas widziałem ciągle stacjonujących tu hitlerowców. Codziennie oglądałem wyglancowane buty i wielkie psy, które znajdowały się dokładnie na wysokości oczu czterolatka. Niemcy właściwie nic złego nie robili, czuwali jedynie nad spokojem w tej okolicy. Nie było przez ten rok strzałów, nie było partyzantów. Tak jakby mała wieś została skazana na siebie. O Niem-

cach mówiło się „szkopy”, a w rozmowach dorosłych zamiennie z „oni”. Rozlokowani w co zasobniejszych domach, byli niekwestionowanymi panami. Mieli cukier i papierosy, pod dostatkiem jedzenia i alkoholu. Dzieciom dawali cukierki i czekolady. Niektórzy z nich brali nas, małych, na kolana, głąskali po głowach. Przypuszczam, że dobierali już sobie dzieci poprawne rasowo, by je zniemczyć, by z tych kilkuletnich blondynów zrobić okrutnych janczarów. Żołnierze niemieccy pilnowali, aby chłopci oddawali na czas kontyngent rolnych płodów, kolczykowali krowy i świnie, znakowali konie. Wszystko policzyli, zmierzli, bo było to ich własnością. Postrachem młodych ludzi we wsi były przymusowe roboty w Rzeszy. Osoby do wyjazdu wyznaczał sołtys. Ludzie klęli na niego, ale po latach okazało się, że było to zjawisko masowe w sali całego kraju i nic nie znaczyła dobra wola sołtysa czy burmistrza.

Przyszło gorące i deszczowe lato 1944 roku. W okolicy zaczęło się coś dziać. Najpierw był silny ostrzał artyleryjski naszej wsi i stacjonujących tu Niemców. Po raz pierwszy znaleźliśmy się w piekle: samoloty, huki armat, płonące zabudowania, wystraszone zwierzęta domowe, przerażeni ludzie. Pamiętam chwilę, kiedy podmuch bomby rzucił mnie pod jakąś ścianę i wylądowałem twarzą na kamieniu. Dookoła błyskało i grzmiało, jak podczas silnej burzy, przed którą chroniłem się w domu babci. Ze strachu zasłaniałem sobie głowę i oczy. Na szczęście byłem cały. Po kilku godzinach Niemcy uciekli, a potem nastąpiła ewakuacja całej wsi.

W nocy była wielka ulewa. Uciekaliśmy furmanką do wioski oddalonej o jakieś 10 kilometrów, bo tam już miało być spokojnie. Po kilku minutach, gdy byliśmy przy naszym zżętym polu, położonym w niedużym lesie, znowu przemiennie lub równocześnie waliły armaty i były pioruny. Schowaliśmy się z mamą i moją roczną siostrą na tym polu w stogu siana. Ustawiano je po 10 snopków i dlatego zwane były u nas dziesiątkami. Modliliśmy się płacząc obficie. Mężczyźni, ukryci w pobliskim lesie, pilnowali koni, krów i świń – bo wszystko, co się dało zabrać, mieliśmy ze sobą. Gdy się trochę uspokoiło, pojechaliśmy dalej. Jechaliśmy w asyście uzbrojonych żołdatów. Przy drodze było pełno sprzętu wojskowego, żołnierze w pałatkach, gdyż wciąż padał deszcz. W pewnym momencie zostaliśmy zatrzymani. W tym momencie dziadek kolejny raz mi zaimponował, bo pogadał z kimś po rosyjsku i przepuszczono nas. Zanim dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, zrobiło się jasno, ale pamiętam również, że było mi piekielnie zimno. Większą troskę rodziców budziła moja młodsza siostra, która darła się wniebogłosem, nie zważając na wojnę, Rosjan oraz na bliższą i dalszą rodzinę. Po kilku dniach jej główka stanowiła wielką skorupę, utworzoną przez nagłe owrzodzenie, spowodowane zimnem i deszczem.

Zatrzymaliśmy się u zamężnej siostry mojego ojca. Mąż ciotki zachęcał mnie do jedzenia kaszy na mleku, mówiąc że muszę się najeść, gdyż przyszedłem z boju. Nie chciało mi się z nim sprzeczać, że nie byłem na żadnym boju, bo gdyby tak było, to powinienem mieć karabin. Nie chciało mi się też jeść, gdyż w jednej wielkiej misie, wokół której posadzono dzieci, pływały roje much, a kolejne z nich syczały nam nad uszami. Z tego wojennego okresu pamiętam jeszcze kilka potraw, których do dziś nie ruszam. Są to śledzie, które nie wiadomo skąd pojawiały się i to na obiedzie. To także szpinak, którego widok przypomina mi lebiode, zwaną u nas komosą. Zbierałem jej wielkie ilości, potem mama ją smażyła z jakimś jednym jajkiem i ten przysmak dawała mi do jedzenia. Było to prawdopodobnie „na przednówku”. Na dodatek Niemcy zabierali produkty. Jeśli coś się udało przed nimi ukryć, to była wyżerka, jeśli nie – to zostawała zupa ze śledzia z ziemniakami, komosą i baranina.

W Szymonach byliśmy kilka dni, w czasie których mężczyźni przedzierali się do naszej wsi, by ukryć to, czego nie dało się zabrać, szczególnie zimowe ubrania i pościel. To co zastali próbowali zakopywać, część zabierali ze sobą, ale po ostatecznym powrocie do domu matka stwierdziła, że wielu rzeczy nie ma. Podejrzewała Rosjan i trudniących się złodziejstwem sąsiadów. Jeszcze wiele lat po wojnie w niektórych mieszkaniach widywałem nasze sprzęty i odzież, puchowe koldry, pierzyny i kapy na łóżka. Ja natomiast w Szymonach zaznajamiałem się z uzbrojeniem Rosjan. Ze zdziwieniem oglądałem zestrzelony samolot myśliwski, cały z drewna, wyposażony w rozmaite wskaźniki.

Kiedy już wszyscy wróciliśmy do domu, okazało się, że nasza wieś poniosła duże straty w ludziach. Trupy zbierano na wozy drabiniaste i wieziono na cmentarz. Na jednym z wozów zobaczyłem nieżywą moją kuzynkę, starszą kobietę, leżącą na wierzchu tego stosu. Ręka uniesiona w górę dokonywała jakby ostatniego aktu błogosławienia tym, którzy przeżyli. Ręce leżących pod spodem tarły się o ziemię, a jedna z nich wkręciła się w pewnym momencie w szprychy. Odwróciłem wzrok, gdyż nie mogłem patrzeć, jak za chwilę zostanie zmiażdżona. Mój stryj pokazał mi miejsce, w którym zakopał zwłoki żołnierza rosyjskiego, gdyż w ciągu kilku dni nikt ich nie odnalazł i już się rozkładały. Było to miejsce, które przez lata nazywałem „pod śliwką”. Bałem się tam chodzić, a na dodatek stryj zabronił mi o tym komukolwiek mówić. Sprawa była niejasna, gdyż po paru dniach Rosjanie intensywnie poszukiwali swojego rodaka. Albo nie chcieli go wciągać do rubryki „zaginiony” albo też był kimś ważnym w ich hierarchii mimo munduru szeregowca. A może to była jeszcze jedna wojenna tajemnica, tym razem należąca do mojego stryja?

Był już koniec lipca. Do wsi napływała fala taborców, zbieraniny spod ciemnej gwiazdy, ludzi rozmaitego koloru włosów i skóry. Na tych odmieńców mówiono, że to mongolowie. Brat mojej matki mówił mi wtedy, że takich samych widział w dwudziestym roku: pili wszystko, co przypominało wódkę, polowali

na dziewczęta, strzelali na wiwat i krzyczeli, że będą bić polskich pomieszczyków. Ci byli podobni. Jednak dziewczęta we wsi tym razem zostały uchronione przed gwałtami. Umieszczone w murowanej oborze, przez kilka dni siedziały cicho, niewiele jadły i brudne jakoś przeczekały odmarsz tej szarańczy – jak mówiła babka.

Huki armat były coraz odleglejsze, front przesuwał się w kierunku Warszawy. Ciągłe natomiast z różnych stron nadlatywały samoloty hitlerowskie i rosyjskie. Kilka dni był we wsi zestrzelony pilot rosyjski. Zabawiał nas, dzieci, opowieścią o walce radzieckich myśliwców z niemieckimi bombowcami. Kiedy nadlatywali Niemcy, w zasięg myśliwców słychać było ich pomruk, ocieżały z powodu bomb na pokładzie. Niemieckie bombowce warczały przeciągle po rosyjsku: „wiesz, wiesz, wiesz” (wiozę, wiozę, wiozę). Podlatywały radzieckie myśliwce i strzelały z broni pokładowej, pytając szybko: „kam, kamu, kamu” (dla kogo). Wówczas ostrzeliwane bombowce zrzucały bomby, co objawiało się słowem-dźwiękiem „wam, waam, waaam” (dla was).

Bardzo nam dokuczały te wszystkie samoloty. Nie było wiadomo kiedy i kto nas ostrzeliwuje lub zrzuca bombę. Kiedy po takim „małym” bombardowaniu zapaliła się stodoła pełna niedawno zebranego zboża, moja babcia stanęła na podwórku i ręką wygrażała sprawcy, obrzucając go wyzwiskami. Pewnego pochmurnego dnia pytałem ją dlaczego te chmury są czarne. Odpowiedziała mi, że to dlatego, bo w piekle palą się dusze Niemców.

Na początku sierpnia 1944 roku ktoś przywiózł wiadomość, że w Warszawie wybuchło powstanie. Akurat wtedy w praskim szpitalu przebywał brat mojej mamy, postrzelony w nogę przez bandytów. Przez dwa tygodnie mama opłakiwała brata, że zginie w tym powstaniu, ale skończyło się na strachu. Kiedy wuj wrócił, opowiadał rzeczy przerażające, mimo że na Pradze powstania nie było. Wychodziłem z nim przez kilka tygodni wieczorami na wzgórek. Tam pokazywał mi kierunek, w którym niebo było rozognione i twierdził, że to pali się cała Warszawa. Po tym postrzale wuj przez całe długie życie powłóczył nogą, gdyż nie wyjęto mu w szpitalu pocisku.

Nadchodząca jesień budziła nadzieje na koniec wojny. Rosyjscy żołnierze byli pewni zwycięstwa, opowiadali co to oni zrobią z Hitlerem w Berlinie. Kiedy patrzyłem na te młode twarze, wydawało mi się, że w kilka dni dojdą do Warszawy, a potem do Berlina i będzie po wszystkim. Mieszkańcy wsi traktowali ruskich (inaczej kacapów) z dystansem. Ale po miesiącu, kiedy rozlokowali się po wielu domach, zaczęli pomagać w gospodarstwach, a niektórzy chłopcy i dziewczęta nucili już tęskne rosyjskie piosenki. Jako szczeniak także umiałem „Katuszę” i zapewne inne, teraz już zapomniane. Atrakcją było strzelanie z ich pepesz: żołnierz klękał, opierał na swoim ramieniu lufę automatu, ja stawałem za kolbą i pociągałem za cyngiel. Wrażenie było niesamowite. Ale nic nie przychodzi za darmo. Waśka nauczył mnie po rosyjsku odpowiedzi na jego pytanie. Dialog wyglądał tak: on pytał – po co myśmy tu przyszli, ja odpowiadałem: wyście przyszli oswobodzić Polskę. Z tym tekstem oprowadzał mnie po kwaterach swoich kolegów, a ja jak papuga powtarzałem wyuczone po rosyjsku zdanie. Widać było zadowolenie na twarzach Rosjan – bo to i poprawne politycznie i taki gnojek z odległej Polski mówi w ich języku. Do dziś podśmiewam się z siebie, że bardzo wcześnie zostałem zainfekowany „proletariackim internacjonalizmem”. Ale to tylko jedna i na dodatek zabawna strona tego czasu. Mężczyźni w wieku poborowym uciekali ze wsi, by uchronić się przed wcieleniem do armii Berlinga, do ruskiej armii – jak u nas mówiono. Wśród tych mężczyzn było trzech moich starszych kuzynów, w tym jeden brat mojej matki. W czerwcu 1944 roku było jego wesele, w lipcu zmarł mu ojciec a mój dziadek, zaś w sierpniu zaczął się ukrywać po okolicznych lasach. Ponieważ był najmłodszy z rodziny (rocznik 1921), wszyscy mu pomagali. Ale jesienią został zatrzymany przez NKWD i wcielony do karnej kompanii. Zginął w czasie forsowania Nysy, na krótko przed zakończeniem wojny – 24 kwietnia 1945 roku. Moja matka nie wiedząc o tym, wyglądała jego powrotu przez wiele lat. Pamiętam, że każdy ludzki krok, każdy zielony mundur i tętent konia budziły jej czujność. Paliła co noc lampy i naftowe latarnie, wychodziła na drogę, odsłaniała zasłony i wyglądała. „Janek idzie” – mówiła. Dopiero w publikacji „Polegli na polu chwały” znalazłem dane o śmierci i miejscu pochówku. Pokazywałem matce, ale ona do końca życia czekała na swojego młodszego brata.

Nie pamiętam natomiast odejścia wojska rosyjskiego z naszej wsi. Było to na pewno na początku stycznia 1945 roku, ale prawdopodobnie wtedy po raz pierwszy zachorowałem na zapalenie płuc. Mój ojciec, przerażony prawdopodobnym zejściem pierworodnego, zdobył skądś cudowną wówczas szczepionkę – penicylinę. Dzięki niemu przeżyłem. Po odejściu Rosjan nasza okolica stała się ziemią niczyją. Rozpoczęła się trwająca kilka lat wojna polsko-polska. Dopiero wtedy zobaczyłem partyzantów i zwalczające ich regularne formacje KBW, nazywane u nas resortem. Dookoła roilo się właśnie od partyzantów, którzy dopiero teraz wystąpili zbrojnie. Dziwna to była partyzantka: młodzi chłopcy obnoszący się z pistoletami. Przychodziły wieści o wyłapaniu takich oddziałów, o tym, że gdzieś zabili wójta, a gdzie indziej urzędnika gminy sympatyzującego z komunistami. Po naszej okolicy resort uganiał się za partyzantami. Obydwie grupy zabawiały się młodzieńczo. Znajomi sąsiedzi nosili dziwne pseudonimy, wracali na noc do domu, by potem znowu iść do lasu. W każdym razie nie słyszałem pozytywnych opinii o nich. Ludzie mieli dość wojny i nie chcieli jej przedłużania. Jak zwykle w takich sytuacjach

rodziły się legendy, bardziej o posmaku awanturnictwa, niż patriotycznych uniesień. Ponieważ łatwo zapamiętywałem teksty piosenek, zostało mi ich trochę w pamięci:

W oddziale Korwina hen w lesie
słysząc piosenkę plutonu,
a echo ją niesie
i niesie po lesie
ludziom tułaczym na cześć.
A kiedy mnie kula uderzy,
wtedy skończy się wojna,
to duch mój, koledzy,
za wami pobieży,
tak długo,
aż Polska będzie wolna.

Pewnie stacjonował u nas kiedyś ten „Korwin” – dwudziestokilkuletni blondyn, lekko rudawy. Zapamiętałem go w starannie wyprasowanym polskim mundurze koloru khaki, z nieodłączną koalicijką z brązowej skóry. Od tego czasu zawsze dziwiłem się, jak można było w tak trudnych i brudnych, dalekich o codziennej higieny czasach, przechować, a potem występować w tak eleganckim mundurze. Na piersiach zwisał mu ryngraf z Matką Boską, co miało oznaczać, że i Pan Bóg jest z nim. Przypominało mi to napisy na niemieckich klamrach do pasów: „Gott mit uns”. A może to wszystko po prostu dopisała dziecięca wyobraźnia, kształcona na rycerskim etosie?

Powtarzam jednak, doświadczony o pół wieku: ludność cywilna, której byłem nieletnim składnikiem, miała dość wojny, wiele zachowań było wymuszonych raz przez partyzantów, raz przez wojsko państwowe zwane resortem. Jest wszak pewnikiem, że taka dwuwładza przedłużała stan niepewności. Dla mnie i moich sąsiadów wojna skończyła się w kilka lat po jej formalnym zakończeniu. Tych kilka powojennych lat miało wyraz równie tragiczny, jak sama okupacja. Dalej ginęli ludzie, często przypadkowi, nierzadko załatwiano przy pomocy kuli lub rozniecenia pożaru wieloletnie konflikty sąsiedzkie i społeczne. Ginęli biedni i bogaci, funkcjonariusze nowej władzy i zwolennicy starej Polski, ludzie z prawa i z lewa.

Czy było normalne, że chłopczyk w moim wieku, siedmio-ośmioletni, upijał się nielegalnie pędzonym bimbrem, że ze zdumieniem i zrozumieniem zarazem obserwowałem wyczyny moich rówieśników. Nienormalne było też to, że aby uniknąć grabieży pieniędzy przeznaczonych na zarejestrowany handel, ojciec ubierał mnie w elegancki, specjalnie dla mnie uszyty, trochę za obszerny płaszcz z gabardyny. Ładowano w ten płaszcz pieniądze, po czym zakładałem go na siebie, wsiadałem na wóz konny i przewoziłem forszę do miasteczek, w których kupowano i sprzedawano żywiec w dni targowe. Nie pamiętam, ile razy byłem wraz z woźnicą zatrzymywany, ale po sprawdzeniu w pamięci mojego ojca okazało się, że przez rok przewoziłem tak pieniądze. Zarówno resort jak i „partyzanci” byli zdumieni moją powojenną elegancją i przepuszczali mnie bez rewidowania. Przez następny rok podobny proceder uprawiałem przy użyciu nowocześniejszego środka komunikacji – rejsowych kursów autobusowych, należących jeszcze wtedy do właścicieli prywatnych. Jasną jest rzeczą, że w jednym miasteczku byłem „nadawany” jako żywy bagaż przez dorosłego opiekuna, w docelowym zaś byłem odbierany przez kolejnego, wcześniej umówionego dorosłego. Zapewne od tego czasu nabrałem wielkiej ochoty do podróży, bo po kilku latach w wypracowaniu w 4 klasie, na pytanie, kim chciałbym być w przyszłości, pisałem z pełnym przekonaniem, że najchętniej kierowcą wielkiej ciężarówki lub dużego autobusu. Zmieniło się to po kilku następnych latach, kiedy rozpocząłem naukę w technikum geologicznym. Po jego ukończeniu byłem w ciągłej podróży. Przez ten czas zmieniłem zawód na przeciwieństwo tego pierwszego, ale do dziś udaje mi się tak sterować delegacjami służbowymi, że co najmniej raz na tydzień wyjeżdżam: jeśli nie do Krakowa, to do Chicago.

Łatwo mi o tym teraz pisać, ale rzeczywistość tuż powojenna miała w sobie coś z tragifarsy. Do moich osobistych przygód dołączały kłopoty najbliższych dorosłych: aresztowania za drobny handel, za posiadanie nadmiernej ilości towaru w sklepie, za „antypaństwową” działalność polityczną czasu wojny lub lat ostatnich.

Co chwilę wieść gminna donosiła o aresztowaniu (na UB) kogoś z sąsiadów lub z rodziny. A to, że miał za dużo nici w teczce, a to, że był partyzantem, a to, że miał dużo ziemi, albo nie wywiązywał się z tzw. obowiązkowych dostaw. Te ostatnie były dokuczliwe, ale znane chłopom z czasów, o których się mówiło, że było to „za Niemca”. Niemcy brali wszak kontyngent, co na jedno wychodziło. Ich represje polegały na wywózkach na przymusowe roboty. Naród żyjący na Mazowszu znał to więc już z okresu od 1939 roku do ucieczki hitlerowców w 1944. Żyliśmy w świecie, który dla dziecka był ciekawy, bo dla takiego szczeniaka, jakim wówczas byłem, wszystko było ciekawe i zarazem niezwykle. Nauczyciel w szkole to sąsiad o kilka lat starszy. Kładł na katedrze nagan, uczył nas czegoś, na czym niewiele się wyznawał i co chwilę wyglądał przez okno, czy nie nadchodzi ci z resortu. Inny młody mężczyzna, także z tej samej wsi, chodził

z opuszczoną głową. Miejscowa ludność interpretowała to jednoznacznie: zabił tylu ludzi, że nie może żywym patrzeć prosto w oczy. W dwa lata po formalnym zakończeniu wojny, we wrześniu 1947 roku, uczestniczyłem w procesji, która idąc 3 kilometry w kierunku najbliższego kościoła, postawiła trzy duże, drewniane krzyże, na których wryty był napis, że ufundowali je żołnierze z AK. A kilka dni wcześniej moja starsza kuzynka uczyła się w szkole, że nie ma żadnej AK, że dwa lata temu została rozwiązana. Od 1948 roku próbowano u nas zaszcześcić w czystej postaci stalinizm. Byłem już wówczas człowiekiem dojrzałym, gdyż dochodziłem do wieku dziesięciu lat. Nic już mnie wtedy nie dziwiło: czerwone sztandary i także krawaty, długie akademie i tytuły przodowników nauki. Zostałem w piątej klasie takim przodownikiem, ale ojciec mnie wykpił, używając zbliżonego dźwiękowo, lecz obraźliwego słowa.

Moim wzorcem osobowym na wiele lat został młody, choć o kilka lat starszy od „Korwina”, również rudawy porucznik, który w cywilu uczył w szkole śpiewu. Przez lata żyłem z nim w przyjaźni. Dla niego także ten czas wojny i kilku lat powojennych był czymś wielowymiarowym, nie zawsze zrozumiałym. Powtarzał wielokrotnie, że wojna jest czymś nienaturalnym i nie należy szukać dla niej rozumowego wyjaśnienia. Niech więc zostanie przeklęta i zamknięta na zawsze.

Przeklęty to czas, przeklęte systemy przemocy. Wybaczmy pojedynczym ludziom, bo byli tylko trybikami. Wojny na naszej ziemi już wystarczy, wyczerpaliśmy wszystkie możliwe limity i kontyngenty. Tamtego już się nie przywróci, sprawiedliwości już się nie wymierzy. To czas, nad którym powinna być zawieszona miłosierna zasłona milczenia.